

# SZAJBA NA PERONIE

*Każdemu  
czasem  
odbija  
szajba!*

5.

MARTA OBUCH

FILIA



MARTA OBUCH

SZAJBA NA PERONIE  
5.

FILIA



*Dla Elisabeth,  
która jest duszą tej książki...*



Czy kobiecie może coś bardziej zorać czaszkę niż facet w podkolanówkach?

Zosia Haba stwierdziła, że tak.

Facet w podkolanówkach i z zawieszonym na szyi tamburynem.

Patrząc na swojego asystenta, który wszedł właśnie dziarskim krokiem do gabinetu, ciągnąc na smyczy mikroskopijnego yorka, Zosia zrozumiała, że jej poczucie estetyki zostało niniejszym zdruzgotane.

Mirek Mędrzycki.

Obiektywnie irytujący brzydal o nosie podobnym do rozklekotanej kłamki, subiektywnie jednak mężczyzna o dużym uroku osobistym, który działał nie tylko na wiekowe panie profesorki i szczebel średni, ale także na portierki, o morzu entuzjastycznych studentek nie wspominając. Zosia, która od października znosiła mniej lub bardziej niedyskretne pytania na temat jego

życia uczuciowego, uśmiechnęła się w duchu z satysfakcją.

Teraz powinny go zobaczyć te jego fanki.

A może wyciągnąć komórkę i strzelić Mędrzyckiemu fotkę?

Mirek jak rzadko kiedy zasługiwał dziś na pyszny portrecik. Wypisz wymaluj wyglądał jak przewodnik duszpasterstwa akademickiego, który w dwa dni zaliczył pieczo nie tylko Piekary, ale również Gidle i Częstochowę, przy czym z każdą miejscowością zastęp niewinnych dziewic topniał. Plecaczek, bojówki i trapersy plus rozanielony uśmiech pośród brody à la Jezus po czterdziestu dniach na pustyni – wszystko było w nim nieświeże i smętne oklapłe. Twarz miał zmęczoną i czerwoną niczym burak, a włosy, które zwykle nosił związane w kitkę, powiewały trzęsącymi się nitkami w powstałym przeciągu. Obcisłą koszulkę Mirka – niestety zbudowany był niezgorzej – zraszał pot, a aromat tego męskiego ciała wypełniał cały gabinet.

Zapachniało czosnkiem i smażoną nad ogniskiem kielbasą.

Kichnęła.

– Sto lat z jednym... – zaczął, ale widocznie przypomniał sobie, że Zosia jest świeżo po rozwodzie, więc urwał. – Zdążyłem? – spytał z nadzieją i pośród pobrząkiwań tamburyna już stał przy biurku, które sprawiało wrażenie, jakby zaraz miało runąć pod naporem jego wielkich owłosionych łap. York podreptał tuż za swym panem, a prezentował się jeszcze bardziej żałośnie. Na powitanie szczeknął

i dopadł jej nóg. – Przybiegłem prosto z dworca. Goliat, piesku, poliz panią w moim imieniu...

– Drzwi – rzuciła chłodno w odpowiedzi i nie uciekła wzrokiem, mimo że Mirek patrzył na nią uparcie i nie przestawał dyszeć.

– Jak ja się za tobą stęskniłem – wymruczał obłudnie, a Zosia pomyślała, że majowy weekend, który ten typek spędził w Bieszczadach jako opiekun roku, należał do wyjątkowo udanych.

W końcu miała gabinet tylko dla siebie. I w końcu jej miejsce pracy nie śmierdziało psem. Rybki, proszę bardzo, nawet zaskrońce i świerszcze, czemu nie. Ale kupka sierści dygocząca ze strachu przy najlżejszym szeleście papieru?

Goliat jakby czytał jej w myślach. Pisnął i usiadł we właściwej odległości.

Niestety jego pan nie zamierzał brać z czworonoga przykładu.

– Mędrzycki, usuń swoje włochate rączki z mojego biurka i zamknij drzwi – powtórzyła więc beznamiętnie, po czym wróciła do pracy. A przynajmniej: starała się wrócić.

Prześladowca jednak nie odpuszczał.

– Poważnie, stęskniłem się. Świat się przeobraża, wiesz? Tonie w wiosnie, kobiety pięknieją, a ty... Tak cudownie niezmienna.

Zosia przez chwilę kontemplowała tę podłą uwagę, a pośród ciszy słychać było leciutkie poskrzypywania parkietu, który uginał się pod nowym ciężarem. Za ścianą zabrzmiały brawa – profesor najwyraźniej skończył swój ostatni wykład.

Czy to się właśnie tak odbywa?

Cały świat widzi, jaka jest brzydka, tłusta i nieciekawa. Tylko że z nieba zamiast gromów syją się entuzjastyczne oklaski. Nikt nie karze sprawcy, gołębie nadal przyozdabiają parapet wonnymi maziajami, a na Jagiellońskiej trąbią auta.

– Bardzo dziękuję za komplement – przemówiła wreszcie. – Musiał cię kosztować sporo wysiłku. Intelaktualnego – rzuciła zjadliwie, uśmiechając się przy tym olśniewająco, jakby już zdążyła przełknąć usłyszaną złośliwość, co nie było prawdą. Bolało nadal. Doskonale wiedziała, że nie jest piękna, nie musiał jej tego uświadamiać, podlec jeden. Zwłaszcza dzisiaj. Wiosna. I w czym ona ma niby tę wiosnę przywitać? W pokrowcu na auto? Po zimie wszystko było na nią za ciasne. – Aaa, widzisz, zapomniałabym... Z powodu twojej nieobecności odwołano konkurs – poinformowała niby służbowo.

– Konkurs? Jaki konkurs? – Mirek zastrzygł uszami.

– Na największego kretyna wydziału.

Podlec na chwilę się zawiesił, ale zaraz potem wybuchł odrażająco szczerym śmiechem, a Goliat zaczął mu wtórować tak beczelnie, że Zosia postanowiła, że nie podzieli się już z wypierdkiem żadną, nawet najbardziej wymemlaną kanapką.

– Widzę, że nie marnowałeś czasu i czekając na mnie, układałeś... CIĘTE riposty – zaakcentował, po czym beztrako poprawił plecaczek. Najwyraźniej nie dotarło do niego, że ktoś tu uraził kobietą dumę. I że za to zapłaci. Oj, zapłaci... Żarciki zawodowe, nie ma sprawy, ale docinki

osobiste?! To było poniżej pasa. – No, dobrze, pani doktor. O której pożegnanie profesora?

Zosia zerknęła niespiesznie na wiszący ponad biurkiem zegar.

– Punkt osiemnasta. Masz raptem czterdzieści minut, żeby coś ze sobą zrobić. Dwudziestolecie międzywojenne, jak zapewne pamiętasz? Muszka, cylinder, te sprawy. Tamburyn i podkolanówki raczej odpadają. Chyba że życzysz sobie być gwoździem programu. Nadmienię, że rektor zaprosił prasę. Już widzę te tytuły... „Nonszalancki Mirek M. pożegnał profesora odziany w przykrótkie gacie”. „Schetany asystent wydziału literatury współczesnej popelnia faux pas”.

– Schetany? Dobra, nie wyrażaj się, pojąłem. Ale cylinder? Skąd ja ci wezmę cylinder? – Mirek opadł oszołomiony na najbliższe krzesło, a Zosia aż zarechotała w środku z uciechy.

Najwyraźniej zapomniał, że dzisiejsza impreza została starannie zaplanowana. Jedną z atrakcji miał być bal kostiumowy, o czym dowiedzieli się z intrygującego w treści zaproszenia: „Podczas całej uroczystości obowiązuje strój retro”.

Retro!

Całe szczęście, że profesor pasjonował się właśnie dwudziestolecie, a nie na przykład barokiem. Żadnych bezowych sukienek, żadnego fashion-lukru i wściekłego podkreślania nieistniejącej talii. Chociaż Zosia była przeciwna przemocy, cieszyła się, że na ówczesną modę miała wpływ wojna. Kapelusze w kształcie hełmów albo misek

do prania, zdecydowane cięcia formy, a nie jakieś głupie hołdy na cześć Wenus z Milo, która cieszyła się (wyłączając rączki) nienaganną figurą. We włosach wystarczy przecież tylko jakieś szalone piórko, szyję poddusi się perłami z Rossmanna i jest szal ciał. Szkoda tylko, że takie trendy nie obowiązują dzisiaj.

– O strojach przypominam przez zwykłą zawodową solidarność – wyjaśniła, żeby nie było wątpliwości. – Jeśli zbłąznisz się publicznie, wszyscy będą na nas wieszać... psy. – Posłała yorkowi niezbyt przychylne spojrzenie, ale ten nic sobie z tego nie zrobił. Machając ogonem, znowu usiadł przy biurku i najwyraźniej oczekiwał odwzajemnienia sympatii. Niestety, odruchowo podrapała go za uchem. – Więc jeśli nie masz planu B i nie chowasz w szafie stroju Szpicbródki, proponuję odpuścić – dokończyła. – I iść do domu.

Mirek zaszępił się, lecz nie zdążył wymyślić odpowiedzi, bo w otwartych drzwiach stanęła kobieta.

Zosia w ułamku sekundy zdążyła ocenić, że ma do czynienia z kimś o niespotykanej urodzie i klasie. Aż sobie ci-chutko westchnęła z zazdrości. Gdyby ona tak wyglądała... Figura idealna. Ubiór również. Estetyka całości hulała aż miło, ordynarność biła kobiecie jedynie z lica, które miało w sobie coś, no, coś wrednego po prostu. Było niby ładne, symetria brwi wprost proporcjonalna do kwadratu szczęki, ale babka miała w oczach cały dział z mrożonkami.

Zimno, pusto i tylko lody Bambino.

Za to ubrać potrafiła się tak, że kapcie spadały, dopracowany był na niej każdy szczegół. Biodra blondynki

eksponowała przylegająca spódnica, nogi zdobiły szalowe szpilki, które wystawę CCC widziały jedynie od frontu, i to w przelocie. Do tego subtelna biżuteria i doskonały makijaż.

Niektóre kobiety tak po prostu mają.

Lśnią.

Inne stapiają się z kaloryferem i podłogą, a na ich tle toczy się barwne życie tych pierwszych.

Normalna, parszywie niesprawiedliwa rzeczywistość.

– Dzień dobry – rzuciła zimno blondyna, patrząc przy tym wyłączenie na Mirka.

Ale dlaczego w jej spojrzeniu Zosia zarejestrowała odrazę?

Czyżby się znali?

Chyba tak, bo Mirek nagle skurczył się i spokojniał jak gdyby był kumplem swojego psa, a kiedy wzrok kobiety zaczął się z pogardą prześlizgiwać po elementach jego stroju (tamburyn rządzi!), wykrztusił:

– E... E... Edyta... Ty tutaj? Nie mogłaś zadzwonić?

– Tak. Ja tutaj. A gdzie twoim zdaniem powinnam być? Może pod mostem? Z karteczką: „Proszę o wsparcie”?

– Ooo. – Zaśmiał się niemrawo, po chwili jednak zaczął wracać do żywych. – To ci raczej nie grozi.

– Nie próbuj być ironiczny, czekam już drugi miesiąc! I dzwoniłam, sto razy. Tylko że ty nie odbierasz.

– Bo byłem w górach, zasięg zdychał.

– Daruj sobie te bajeczki. Kiedy dostanę przelew?

– A kto mnie namówił na ten piep... na kredyt? Czy możemy jednak porozmawiać gdzie indziej? – zaproponował

nagle, widząc, że Zosia przysłuchuje się tej wymianie zdań z nieskrywaniem zainteresowaniem. – Czemu zawsze musisz urządzać sceny?

– Nie zamierzam nic urządzać. To znaczy nie zamierzam rozmawiać. – Dla podkreślenia tych słów blondyna zaczęła wymachiwać elegancką skórzaną torbą, do której spokojnie zmieściłby się nie tylko komputer, ale i drukarka, i Zosi przeszła właśnie chęć, żeby nabyć takie monstrum, choć duże torby były w modzie. – Przysłałam ci tylko oznajmić, że jeśli pieniądze nie wpłyną na konto do końca tygodnia, zakładam sprawę. Pani jest świadkiem. – Spojrzała na Zosię.

– Słuchaj, nie skąpię i nigdy nie skąpiłem na własne dziecko. Ale jestem splukany, musiałem spłacić zaległe raty i odsetki. Za twój samochód, który kupiłaś na moje nazwisko! – Wzburzony Mirek przestał już zważać, że o intymnych sprawach mówi w towarzystwie szefowej. – Przez ciebie mam na pensji komornika. A przecież kto jak kto, ale ty doskonale wiesz, że pracownik naukowy nie zarabia tyle co... reprezentant Polski w siatkówce mężczyzn. Z głodu nie umieracie.

– Odczep się od kadry narodowej, dobrze ci radzę. – Blondynka pogroziła Mędrzyckiemu swoim zadbanym palcem. – Jesteś ojcem czy nie? Masz przelać alimenty i koniec. I kropka. Taki jest wyrok sądu – dodała na zakończenie, chlasnęła powietrze blond grzywą i już jej nie było.

Mirek znowu opadł na krzesło, a potem umęczony zwrócił się do Goliata, jakby tylko on mógł go zrozumieć:

– Edyta, stary, wciąż ta sama Edyta. I kto tu powinien nosić kaganiec?...



Zosia Haba do dwudziestki srała tęczę.

Znaczy się: kwitła i pachniała, jej śmiech jak te anielskie dzwoneczki rozbrzmiewał w M-3, które dzieliła w dzikiej rozkoszy ze swym nowo poślubionym Oskarkiem. Potem przyszła na świat przyczyna zawarcia małżeństwa, potem dziecię zaczęło się wniebogłoso drzeć, a przygniecione pieluchami uczucie dla odmiany jakby skłęzło.

I tęczę szlag trafił.

Nadciągnęły ciemne chmury, z chmur zaczął siąpić najpierw drobny, ale namolny kapuśniaczek, a dalej poszło już szybko: zadudniło, zazgrzytało i nastąpiło gradobicie, bo okazało się, że Zosia wyszła za mąż nie tylko za patentowanego lenia, ale i za egoistę.

O rozmiarze nieszczęścia przekonała się już w trakcie ciąży, a potem było tylko gorzej. Małżonek w niczym jej nie pomagał, ciągle znikał, została więc ze wszystkim sama, bo rodziców już nie miała. Natomiast rodzice Oskara wszystko krytykowali i we wszystko się wtrącali, przysparzając tym samym Zosi dodatkowych zgryzot, bo w swojej poczciwości nie wpadła na pomysł, żeby namolne towarzystwo po prostu ze swojego życia przegonić. Choćby drągiem, jeśli zwykle: „Wypad, kmiotki” by nie poskutkowało.

Tymczasem studiowała, robiła zakupy, gotowała, prala, sprzątała, prasowała, zajmowała się wychowaniem syna i swojej młodszej siostry i nieustannie walczyła z mężem, który doprawdy nie pojmował, dlaczego jego zrzędząca

żona nie potrafi przyjąć bezinteresownej pomocy mamusi będącej przecież chodzącą dobrocią. Chodząca dobroć uwielbiała syneczka, podstępnie rozpieszczała wnuka, a na synową patrzyła jak kot na śmierdzącą kuwetę i wszystko robiła lepiej. Energii w tej chudej babie kotłowało się tyle, że dobijana widłami, odgryzłaby trzonek.

Zosia znosiła to cierpliwie przez kilka lat. Potem ze stresu i przemęczenia wysiadła jej tarczyca.

Zaczęła tyć.

I rozpoczął się kolejny etap małżeńskiego pożycia.

Pożycie zanikło.

A konkretnie pożycie Zosi, bo Oskar sobie nie żałował i miewał regularne przyjaciółki. Żeby nie zwariować, Zosia rzuciła się w wir pracy, a że była zdolna, nie wiedzieć kiedy zrobiła doktorat i zaczęła przygotowywać habilitację. W międzyczasie myślała co prawda o rozstaniu z mężem, ale nie chciała fundować swojemu jedynemu dziecku stresu, bo syn uwielbiał tatusia miłością wręcz fanatyczną. Kiedy poszedł do szkoły, faza obłędu zelżała, a Zosia odechnęła z ulgą, bo mądre dziecko zaczęło wreszcie patrzeć na przekupującą go słodyczami babcię jak na wiedźmę z bajki o Jasiu i Małgosi.

Ostatecznie geny Zosi wzięły górę.

Dziecko zauważyło, że tatuś wcale nie chce spędzać czasu z rodziną, że najszczęśliwszy jest, kiedy może wyjść z domu, a kiedy wraca, pachnie „jakąś obcą panią”. Te same geny nie zawiodły i kilka lat później. Pewnego razu syn, już jako dziewiętnastoletni młodzieniec, wrócił do domu wcześniej niż zwykle i w sypialni rodziców zastał sytuację mocno

jednoznaczną. W pierwszym zaskoczeniu wycofał się do swojego pokoju, bąknął nawet „przepraszam”, ale kiedy po kwadransie wszedł do kuchni, spotkał tam niewiele starszą od siebie dziewczynę ubraną w szlafrok jego matki. I tu już nie wytrzymał, powiedział ojczulkowi kilka słów prawdy, co niemal skończyło się przepychanką pod lodówką.

Ten ożywiony dialog pokoleniowy miał miejsce równo rok temu – przed tygodniem Zosia otrzymała wreszcie upragniony rozwód. Wcześniej syn wyjechał na studia do Wrocławia, a ona najpierw zatrzymała się u swojej siostry Danki, wynajmującej mieszkanie w kamienicy na obrzeżu osiedla Tysiąclecia, a potem, kiedy na poddaszu zwolniła się kawalerka – zyskała własną przestrzeń.

Żyło się jej prawie doskonale.

Prawie.

Bo bez miłości zawsze żyje się tylko prawie.

Tyle że miłość wychodziła Zosi zwykle bokiem.

W czasie ostatniego roku spotykała się z dwoma delikwentami, co przy jej puszystej figurze i kompleksach i tak było nie lada osiągnięciem. Finał jednakże wyglądał w obu przypadkach tak samo. Kiedy faceci orientowali się, że Zosi zależy, że się angażuje i jedzie na pełnym gazie, ostro dawali po hamulcach.

Pozostała więc samotna i zraniona.

I ogólnie rozczarowana życiem.

W dodatku przeświadczona, że najlepiej mają się zimne, chude żoły.

I bardzo taką żołą chciała być. Po wszystkim, co przeszła, stała się podobno złośliwa, ale o ile wbijanie szpilek

komuś, z kim łączyły ją luźne relacje, nie stanowiło problemu, to w momencie, gdy relacje te ulegały zacieśnieniu, coś się w jej wewnętrznej maszynerii przestawiało i zaczynała być czuła i słodka jak noc majowa.

A taki Mędrzycki...

Na jego widok od razu poczuła w środku gorąco. Żadnych letnich reakcji, żadnego tiu, tiu, tiu. Rzetelny ogień na wskroś przepalający macicę. I to mimo że był od niej prawie dziesięć lat młodszy, co przecież nosiło znamiona pedofilii! Czterdziestoletnie próchno i jurny trzydziestolatek? Żenujące. Wystarczy pomyśleć, że kiedy ona miała dziewięć lat, jego jeszcze nie było na świecie. A kiedy w czwartej klasie kupiła swoje pierwsze cieniutkie rajstopy, pani Mędrzycka pakowała syna w tetrową pieluchę, która sięgała mu po szyję i zimą mogła służyć za golf.

Niestety, chociaż Zosia uważała się za osobę rozsądną i pewnych scenariuszy nie brała pod uwagę, to po prostu się stało. Mirek wpadł na początku semestru do jej gabinetu i uśmiechnął się tak ciepło i serdecznie, że z bólem w sercu pojęła, że zapełnił sobą nie tylko pokój od parkietu po szafę, ale dużo, dużo więcej. Więc żeby się czasem nie domyślił, zaczęła być nieprzyjemna. Tak utarł się zwyczaj – toczyli ze sobą cichą, podjazdową wojnę. Słowo za słowo, docinek za docinek. Ale właśnie dlatego, że nie było w tym żadnej prawdziwej wrogości czy niechęci, Zosia w swoim odczuciu tak naprawdę niczym nie różniła się od wzdychających do Mirka panienek. Była tak samo banalna jak dziesiątki innych bab, mimo że w gabinecie fruwały pod jego adresem „głąby” i „świniaki”, które zresztą przyjmował z podejrzanym zadowoleniem.

Więc on również był po rozwodzie?

Czasem, kiedy chowała kolce, dłużej rozmawiali, ale do tego jej się nie przyznał. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, jakby powodzenie u kobiet dziwiło go i cieszyło jednocześnie, jednak o swoim życiu prywatnym po prostu nie mówił. I w sumie bardzo dobrze. Facet kłapiący gębą gorszy od Tatarzyna.

– Taaak – westchnął. – Właśnie poznałaś przyczynę prarzekcy – wyznał niby żartobliwie, ale wcale nie było mu do śmiechu. – Edyta. Piękna i seksowna, chociaż trochę za chuda i... I puściła mnie kantem. Co ci jest?

Zosia musiała mieć dziwny wyraz twarzy.

– A co ma mi być?

– Jesteś jakaś taka... To była moja była.

– Była była. Tak, zorientowałam się, synapsy mi się domykają, póki co.

– No, właśnie, ja się zorientowałem za późno. Bo można być piękną i seksowną i na tym lista przymiotów się kończy. Aha, dodajmy jeszcze jedno. Płodna. Zaszła w ciążę przy pierwszym podejściu, masz pojęcie? A ja postanowiłem być rycerzem.

Zosia ze zdziwienia wytrzeszczyła oczy.

– Tak, pani doktor. – Pokiwał głową i bezwiednie potarł przedramię z tatuażem, który przedstawiał sowę. Ptaszysko, zdaje się, nawiązywało do nazwiska i do tego, co myślał o sobie jego właściciel. – Największy kretyn na wydziale. To by się nawet zgadzało... Osiemnasta? – zapytał dla pewności. – Zajmij mi miejsce, mogę się spóźnić. Ale będę na pewno. Ty wystąpisz w perłach i na szpilkach, jak sądzę?

# **RETRO DIETA I SZTUKA OKRADANIA/UWODZENIA MĘŻCZYZN. POWIĘKSZENIE PIERSI METODĄ „HISTORICAL TIME” I MAGICZNY PERON 5. UWAGA! PICIE NA NIM WINA SKUTKUJE PRZENOSINAMI W CZASIE...**



Zosia jest rozczarowana swoim nieciekawym życiem. Czuje się stara, gruba i samotna – wręcz oddałaby wszystko, żeby znów mieć dwadzieścia lat. Marzenia nieoczekiwanie się spełniają. Zosia wypija butelkę wina z 1929 roku i wraz ze swoimi znajomymi trafia nagle do przedwojennych Katowic.

Szanowna pani doktor literatury staje się teraz Czarną Zośką – szefową bandy rzezimieszków, która uwodzi bogatych mężczyzn i ich okrada. A ponieważ do niemieckich willi trzeba się włamywać, jej siostra Danka musi nauczyć się wielu zaskakujących sztuczek, jak choćby chodzenia po gzymsie czy odczyniania czarów za pomocą telefonu komórkowego.

Problem pojawia się, gdy niejaki Mirek Mędrzycki, również złodziej, rzuca Czarnej Zośce wyzwanie. Podjęcie go nie jest łatwe, bo Zosia próbuje jednocześnie rozwikłać rodzinną tajemnicę – ponurą historię o pierwszym burmistrzu Katowic, który ograbił kasę miejską i uciekł z pieniędzmi za ocean. O czym zapomniał? Dokąd prowadzą podziemne korytarze krzyżujące się w sercu miasta? I czemu serce Czarnej Zośki bije szybciej, niż powinno?

**cena 49,90 zł**

**FILIA**

ISBN 978-83-8402-332-7



9 788384 023327